

się, spojrzała nań ze zdziwieniem. Doktor ukłonił się i rzekł zakłopotany:

— Dr. Schwerdtner. Przepraszam, że tu wszedłem zaciekaiony piękną malowidłą; drzwi były całkowicie otwarte, więc...

— Więc nie potrzebuje się pan usprawiedliwiać. Wszakże od chwili wejścia w dom mego ojca, zyskałeś pan wszelkie prawa, domownikom należne.

— Zdaje mi się, że przybyłem do pałacu za wcześnie. Sądziłem, że zastanę pana barona o tej porze.

— Mój ojciec musiał wyjechać na jedno z tych posiedzeń, które go tak rozrywają, ale miło mi będzie zastąpić ojca w przyjęciu pana.

Powiedziała to uprzejmie, ale z wyniosłością i lekko, od niechcenia wskazała doktorowi krzesło. On stał wpatrzony w nią, nie bacząc na formy towarzyskie, na których zresztą znał się nie wiele.

— Więc to pani! córka barona Ellericha! — wyrzekł nieśmiało, na pół szeptem.

— Cóż to pana tak dziwi? — odpowiedziała chłodno i spojrzała na doktora poważnie.

— A że też nie poznałem pani na portrecie? Ależ bo to lat temu kilkanaście...

— Nie rozumiem, o czym pan mówi.

— Będąc małym chłopcem, wychowywałem się w Berghausen, w dobrach państwa i z owych czasów zostały mi wspomnienia.

— A, słyszałam coś o tem; ojciec nadmieniał, że pan z Berghausen pochodzi — odpowiedziała, jakby znudzona, czy zniecierpliwiona.

— Pamiętam panią z lat chłopięcych.

— Ależ ja od lat dwunastu nie byłam w naszych dobrach, na wsi.

— A to właśnie lat temu trzynaście. Pamiętam dobrze. Pani wybaczy, że o tem mówię; chciałbym się usprawiedliwić, dlaczego pozwoliłem sobie potracić o wspomnienia.

Baronówna, przywykła do subtelnych form salonowych, z razu niechętnie słuchała tych wynurzeń, ale ich oryginalność zaczęła ją zaciekać. Przytem szczerą, szlachetną i piękną twarz młodego człowieka, obudziła w niej jakąś sympatię.

— Proszę bardzo, niech się pan nie kępuje. Takie wynurzenia, przy pierwszym spotkaniu, są niezwykle, a więc tembardziej zajmujące.

— Czy przy pierwszym spotkaniu należy być mniej szczerym, niż przy drugim?

— Nie sądziłam, że mnie pan tak od razu, na wstępie, zaufaniem obdarzy — odpowiedziała cokolwiek ironicznie.

— Wszakże panu baronowi tyle zawdzięczam, że muszę poczuwać się do obowiązku wdzięczności nietylko dla niego, ale i dla jego rodziny. Wdzięczność zniewala do szczerości. Jeżeli ona wyda się pani w tej chwili cokolwiek naiwna, to proszę mnie rozgrzeszyć w imię tego, że nauczyłem się bardziej cenić prawdę, niż szablon form towarzyskich.

Baronówna uśmiechnęła się nieznacznie, ale w tym uśmiechu nie było już ironii, tylko pobłażliwa łagodność. Ten młody człowiek zaczynał ją bawić; był dla niej zjawiskiem nowym, a więc ciekawym. Tytuł się jej przesunął przed oczyma wymuskanych salonowców, a wszyscy ukuci według jednej formy. Po raz pierwszy widzi człowieka młodego, który ma odwagę mówić to, co myśli.

— Mówiłeś pan o wspomnieniach. Słucham pana — rzekła uprzejmie.

— Dziękuję bardzo za łaskawe pozwolenie. Może się to pani wyda bardzo dziecinne co powiem. Rzeczywiście jest dziecinne, bo wtedy byłem chłopcem jedynastoletnim. Przybyłem na wakacje do Berghausen do mego zanego opiekuna. Brakowało mi wtedy towarzystwa rówieśników, więc musiałem sam sobie wystarczać. Przyległy las, łąki, pola — bywały powiernikami moich chłopięcych marzeń, a książka najmiłszym towarzyszem. Pewnego razu dostała mi się w ręce książeczka z baśniami. Chociaż uczyłem się już wtedy łaciny i jako student gimnazjalny, wolałem po-

ważniejszą lekturę, owe baśnie zajęły mnie bardzo, nawet zachwyciły, bo wiele w nich było poezyi, tej prostej, naiwnej, a uroczej poezyi ludu. I oto w lesie, wśród szumu dębów, usiadłem z książką i czytałem o uroczej, zaczarowanej księżniczce, którą piastuje szlachetna czarodziejka. Baśń była ilustrowana. Obrazek przedstawiał cudownie piękną kobietę, jadącą fantastycznym zaprzęgiem z kilkoletnią, prześliczną dziewczynką. Dziewczynka miała długie, jasne, faliste włosy i spoglądała, jakby z zachwytem, na swoją opiekunkę. Wpatrywałem się w ten obrazek i właśnie, gdy miałem zabrać się do czytania nowej baśni, usłyszałem turkot powozu. Spozieram i z największym zdumieniem widzę przed sobą te same postacie, które na obrazku oglądałem. Zdawało mi się, że to sen, że złudzenie; wpatrywałem się niemal z osłupieniem i z zachwytem, rozbudzonym przez poetyczną lekturę. Powóz przejechał prędko i znikł za drzewami, ale wrażenie nie znikło z mej duszy i stało się jednym z najmiłszych wspomnień z moich lat chłopięcych. Rozmarzony, dowiadywałem się, kto

dla niego podwalina, a nią: spokój i zadowolenie wewnętrzne.

— Tak, zadowolenie wewnętrzne — powtórzyła od niechcenia baronówna, spojrzała na zegarek i dodała: — a, tak późno. Zainteresowała mnie ta rozmowa z panem i zapomniałam zupełnie, że krąwiec na mnie czeka.

Wstała i zadzwoniła.

Wszedł służący.

— Czy brat mój wrócił ze szkoły?

— Przed kwadransem.

— Może pan zechce poznać teraz swojego ucznia. Bardzo panu dziękuję za tę małą filozoficzną dysputę.

Skinęła głową i znikła.

Schwerdtnerowi dziwnie się wydało, jak można przerywać poważną rozmowę dlatego, aby z krawcem się widzieć; stał chwilę zamyślony, poczem udał się do pokoju swojego ucznia.

III.

Z wyteżoną gorliwością czyniła policja poszukiwania, ażeby wyszukać mordercę, ale wszelkie zabiegi były dotąd daremne.

Sprawdzono tylko, że Otto Döbel, jeden z najznakomitszych finansistów stolicy, liczący lat 55, od dwunastu lat owdowiały, posiadał piękny majątek ziemski Murnau, w którym cały tydzień przed śmiercią przebywał. Codziennie otrzymywał liczną korespondencję i raporty od szefa swojego biura bankowego. Kamerdynier zeznał, że jednego dnia znalazł się wśród korespondencji jakiś list, który bankiera niezwykle ucieszył. Uśmiechnął się wesoło, gdy go czytał, a po przeczytaniu, wraz z kowertą, schował list do pugila-resu, zamiast go na biurku z innymi położyć. W tej chwili też rozkazał kamerdynierowi przygotować konnego posłańca. Miał nazajutrz być w sąsiedztwie, na polowaniu, lecz otrzymawszy ów list, który go tak ucieszył, wyprowadził konnym posłańcem usprawiedliwienie, że przybyć nie może, bo go ważne sprawy do stolicy powołują.

Nazajutrz wyszedł Döbel zaraz po obiedzie, powiedziawszy służbie, że pieszo, spacerem, uda się do stacyi i pojedzie do miasta, a wróci następnego dnia w południe. Widziano go we wsi, jak skręcił ku lasowi i tam spotkał się z jakimś nieznajomym. Rozmawiał z nim bardzo wesoło, nawet śmiał się głośno. Chłopcy wiejscy, kręcący się koło lasu i leśniczy, który właśnie tamtędy przechodził, opowiadali, że ten nieznajomy pan, z którym bankier pod lasem się spotkał, dziwacznie był ubrany. Miał na sobie płaszcz po same kostki, kapelusz z ogromnymi kryszami, zakrywający mu zupełnie czoło, a twarz obwiązał czarną chustką jedwabną, tak że zaledwie nos było

widzieć. Opowiadali też, że nie wyglądał na bardzo silnego człowieka, niższy był i szczuplejszy od bankiera.

Oficyaliści bankowi oświadczyli stanowczo, że ich pryncypał nie miał najmniejszego powodu wracać nagle do miasta, zatem tylko ów list, który Döbla tak ucieszył, mógł go nagle skłonić do wyjazdu z Murnau. Tym podstępny listem zwabił morderca Döbla na schadzke, ale czując się mniej silnym, nie odważył się wprost rzucić na swoją ofiarę, tylko we śnie ubezwładnił ją chloroformem i skrytobójczo zamordował.

Widziano też bankiera na stacyi w Steinfurt, w towarzystwie owego zagadkowego człowieka. Döbel kupił dwa bilety pierwszej klasy, do pociągu, odchodzącego do Berlina o godzinie dziesiątej wieczorem. Konduktor opowiadał, że Döbel, zobaczywszy w przedziale pierwszej klasy już dwie siedzące osoby, kazał sobie otworzyć klasę drugą, bo chciał sam na sam jechać ze swoim towarzyszem.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wstała i zadzwoniła. Wszedł lokaj.

jechał tym powozem. Powiedziano mi, że to pani baronowa Ellerich z córką Elwirą.

Baronówna pochylała głowę, a na jej twarzy dostrzegł doktor powiew smutku i wzruszenia. Domyślił się zaraz, że wspomnienie matki zasmuciło Elwirę. Niekontent był z siebie, że się wyrwał z tem opowiadaniem. Wszakże wiedział od pastora, że baronowa umarła osierociwszy córkę piętnastoletnią. Nie wiedział, jak teraz zatrzeć wrażenie, nieporadny był w obejściu towarzyskim, więc też lękał się przemówić, aby jeszcze nie pogorszyć sytuacji. Baronówna opanowała się prędko i rzekła poważnie:

— Mówiłeś pan o baśniach. Najszczęśliwszy to wiek ludzki, gdy się w nie wierzy. „Tyle szczęścia, co człek prześni“, w marzeniu o cudownych krainach szczęścia.

— Ośmieliłbym się sprzeciwić pani; wszakże i w życiu można być szczęśliwym, a nietylko w marzeniu.

— Nie wątpię.

— A więc?

— Zależy od tego — jak się to szczęście pojmuje.

— Sądzę, że dla wszystkich ludzi jest jedna